

Osiem lat podstawówki i cztery liceum.
Potem pięć, bite, studiów, dyplom
z wyróżnieniem, dwadzieścia lat praktyki,
i oto mi płacą, jak by ktoś dał mi w mordę.

Ja pier***, ku***! O, bracia poloniści,
siostry polonistki, sto trzydzieścioro było nas
na pierwszym roku. Myśleliśmy, że nogi Boga
złapaliśmy, że oto nas przyjęto do szkoły poetów.
Szkoła poetów, Dżizus, ku***, ja pier*****!

Kadr i monolog z filmu „Dzień świra”



12

Nauczyciele: operacja dyskredytacja



32

Homoadopcje: ostatnie polskie tabu

Tematy tygodnia

- 12 Joanna Cieśla
Obrzydzanie nauczycieli
- 15 Joanna Solska
**Dylemat minister
Czerwińskiej**

Polityka

- 18 Anna Dąbrowska
**Szybkie kariery
absolwentów uczelni
o. Rydyzka**
- 21 OGLĄD I POGLĄD
Łukasz Warzecha
Jak się dziś dogadać
- 24 Rafał Kalukin
**Co robi w Wiośnie
Zbigniew Bujak**

Społeczeństwo

- 28 Edwin Bendyk
**Internet: wolność
i własność**
- 32 Dlaczego Polacy nie akceptują
adopcji dzieci przez pary
jednopłciowe mówi
prof. **Anna Brzezińska**
- 35 Edyta Gietka
Błądzący pomnik wołyński
- 38 Piotr Pytlakowski
Jak narodowiec przejrzał na oczy

Rynek

- 40 Adam Grzeszak
Bankierzy: ile się należy?

- 44 O leczeniu raka w Polsce opowiada
prof. **Jacek Jassem** z Gdańskiego
Uniwersytetu Medycznego

Świat

- 46 Łukasz Wójcik IZRAEL
Demokracja poszła na wojnę
- 49 Tomasz Zalewski USA
Koniec mitu pucybuta
- 52 Jędrzej Winięcki NOWA ZELANDIA
**Jacinda Ardern
– nowa stalowa dama**
- 54 Ewelina Mokrzecka LITWA
Wojna elfów z trollami

Historia

- 56 Jakub Bożek
Wielki kryzys II RP
- 60 Tomasz Maćkowiak
Wstydlive narodziny Słowacji

Nauka

- 62 Agnieszka Krzemińska
Tajemnice chińskich alchemików
- 65 Edwin Bendyk
Biografie Krakowa
- 66 Paweł Walewski
Groźna diabulimia

Ludzie i style

- 68 Jakub Mejer
Na nowo o kawie
- 72 Marcin Piątek
Rower wiezie reklamę

Kultura

- 78 Finaliści ósmej edycji Nagrody
Architektonicznej POLITYKI
- 82 Aneta Kyzioł
Pilnie strzeżone sekrety seriali
- 86 KAWIARNIA LITERACKA
Krzysztof Siwczyk
- 87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 88 Rozmowa z **Radosławem
Śmigulskim**, dyrektorem Polskiego
Instytutu Sztuki Filmowej
- 92 O Józefie Czapskim opowiada
Eric Karpeles, autor jego nowej
amerykańskiej biografii

Na własne oczy

- 100 Michał Zaczynski
Mieć, by myć: łazienka XXI wieku

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 43 Przegląd informacji rynkowych
- 74 Afisz
- 94 Chutnik i Plebanek
- 95 Passent
- 96 Hartman
- 97 Tym
- 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy
- 106 Polityka i obyczaje



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Za wolność naszą i waszą

Uznanie powiatu świdnickiego za obszar wolny od zagrażającej jego dalszemu rozwojowi ideologii LGBT to wydarzenie krzepiące. Dzięki stosownej deklaracji radnych PiS ta zbrodnicza ideologia usłyszała wreszcie stanowcze „nie” tamtejszej społeczności. „Radykalowie dążący do rewolucji kulturowej w Polsce atakują wolność słowa, niewinność dzieci, autorytet rodziny, szkoły oraz swobodę przedsiębiorców” – czytamy. Zryw radnych powiatu świdnickiego pokazuje, że na ziemi świdnickiej, mocno od stuleci związanej z matką, zgody na tego rodzaju nowinki nie ma. Zwłaszcza – co słusznie podkreśla deklaracja – dzisiaj, „1053 lata po Chrzcisku Polski i 100 lat od odzyskania Niepodległości”. Dzięki deklaracji odetchną świdnickie szkoły, przedszkola i instytucje publiczne, które nie będą dłużej narażane na kontakt z problematyką narzucaną przez osoby LGBT. Ulgę poczują przedsiębiorcy i emeryci. Pacjenci działających w powiecie świdnickim placówek szpitalnych w atmosferze pozbawionej męczących dyskusji na tematy związane z LGBT zaczną szybciej dochodzić do zdrowia, a miejscowi piekarze będą mogli spokojnie piec swój wolny od ideologii LGBT chleb. Na spontanicznie zwoływanych w zakładach pracy zebraniach obca powiatowi świdnickiemu problematyka LGBT będzie ostro potępiana i konsekwentnie przemilczana.



Oczywiście sukces radnych Świdnika nie byłby możliwy bez intelektualnego świadectwa takich osób jak wojewoda lubelski, który Marsze Równości uznał za promocję „zboczeń, dewiacji i wynaturzenia”, ostrzegając, że w jałowym związku gejów „mogą się zrodzić tylko kamienie z nerek”. Słowa te są, niestety, bolesnym przykładem tego, co zainteresowanie ideologią LGBT może zrobić z umysłem człowieka – wiele wskazuje na to, że w przypadku wojewody w grę wchodzi utrata kontaktu nie tylko z rzeczywistością, ale i z rozumem. Na mocno poszkodowaną wygląda również posłanka PiS pani Kruk, dlatego nie dziwi, że domaga się ona, aby cała Lubelszczyzna była wolna od LGBT. Nie wiem, co LGBT tej posłance zrobiło, i nie chcę wiedzieć, bo muszą to być rzeczy straszne. Dlatego nie mam też do niej pretensji, że to, co mówi, jest głupie i bez sensu – ważne, że mówi szczerze i z pasją.

Ala najważniejsze, że zarówno deklaracja radnych, jak i publiczne wystąpienia wojewody oraz posłanki Kruk uniemożliwią dalszą penetrację powiatu świdnickiego przez ideologię LGBT i jej wyznawców. Niektórzy sprawę bagatelizują, uspokajając, że przeciw wszystkim nie spenetrują, ale warto być czujnym, aby któregoś dnia nie obudzić się z ręką w nocniku albo gdzie indziej.



Tesco wspiera lokalne społeczności

Za nami 5 edycji programu grantowego „Decydujesz, pomagamy”.

- Przez ten czas wsparliśmy realizację **1190** projektów na rzecz lokalnych społeczności. Na działania przeznacziliśmy granty o łącznej wartości ok. **4,5 mln złotych**.
- Program mobilizuje lokalne społeczności, klientów i pracowników oraz zachęca ich do wspólnego działania. Podczas głosowania w sklepach Tesco w Polsce łącznie oddano **26,7 mln głosów**. Dziękujemy za to ogromne zaangażowanie!
- Nabór do kolejnej, szóstej edycji rozpoczyna się **już 1 kwietnia!**

Zachęcamy i wspieramy naszych współpracowników do proaktywnych działań na rzecz lokalnego środowiska. Każdy, nawet najdrobniejszy gest ma wielkie znaczenie!

TESCO
Every little helps

Nie na temat



Jerzy Baczyński

Nie namawiam do oglądania cosobotnich konwencji wyborczych PiS, ale sam to czynię i nie żałuję. To są bardzo plastyczne ilustracje technologii politycznej, na tyle prostej, że bez trudu, a nawet z niejaką przyjemnością, można odczytywać intencje, pomysły, tricki, chwyt marketingowe. Weźmy Gdańsk: spekulowano, że PiS odniesie się jakoś do strajku nauczycieli (to pewnie w kolejną sobotę) albo do oskarżeń, że na piątkę Kaczyńskiego nie ma pieniędzy. Tymczasem nic z tych rzeczy. Kampania przemieściła się na nowy front. PiS jest partią wolności – oświadczył prezes partii – atakowaną przez wrogów wolności. Dowodem na tak sformułowaną tezę był sprzeciw europosłów PiS wobec uchwalonej właśnie przez Parlament Europejski dyrektywy o ochronie praw autorskich w internecie. Ta dyrektywa, wyjaśniał Kaczyński, ma „nałożyć cenzurę” na – dopowiadał Mateusz Morawiecki – „naszych drogich internautów”, oczywistych adresatów przesłania. Prezes, jak ktoś ładnie powiedział, sprzedał publiczności klasycznego „fake newsa”. (Na czym rzeczywistość polega ta regulacja, piszemy na s. 28).

Akurat w weekend, kiedy prezes Kaczyński bronił w Gdańsku „wolności w internecie”, zadebiutowała w sieci nowa Polityka cyfrowa, budowana przez kilkanaście miesięcy nowoczesna platforma prezentacji, także subskrypcji, treści wytwarzanych przez zespół redakcyjny i współpracowników POLITYKI. Dla wszystkich niezależnych i niewspieranych finansowo przez państwo mediów, uzyskiwanie przychodów z internetowej dystrybucji jest dziś warunkiem przetrwania. A dopiero teraz uchwalona przez PE dyrektywa przynajmniej wydawcom takim jak my tzw. autorskie prawa pokrewne.

Dotychczas bywało często bezradni, kiedy już w dzień publikacji tygodnika, a nawet wcześniej, ukazywały się w sieci, udostępniane przez rozmaite portale, pełne wersje naszych wywiadów, artykułów, niekiedy nawet bez wskazania źródła. Przez lata bez powodzenia procesowaliśmy się z firmami, które, powołując się na zasadę wolności internetowej, zwyczajnie sprzedawały innym odbiorcom elektroniczną wersję naszej gazety. Takie doświadczenia mają niemal wszyscy wydawcy i producenci dóbr kultury, którzy bynajmniej nie buntują się przeciwko prywatnemu darmowemu wykorzystaniu ich „contentu”, ale chcą ograniczenia komercyjnego żerowania na cudzej pracy. Tymczasem, niesłuchanie ważna dla przyszłości kultury, mediów, polityki i samej demokracji, kwestia równowagi między wolnością i własnością w internecie, także ograniczenia dominacji wielkich firm technologicznych, została przez PiS sprowadzona do tandetnej zagrywki kampanijnej.

Wogóle już w zasadzie o niczym nie rozmawiamy na poważnie. Popatrzmy na protest nauczycieli, który, nawet jeśli skończy się jakimś porozumieniem płacowym i strajku szkolnego nie będzie, nabrał charakteru społecznego buntu. Świadczą o tym wyniki referendum strajkowych, ewidentne przełamanie pewnej środowiskowej bariery strachu i oportunizmu. Nauczyciele, mimo romantycznego zawodowego etosu, mają status marnie opłacanych urzędników państwowych, mocno hierarchicznie podporządkowanych administracji oświatowej. Odkąd obecna władza przejęła pełną kontrolę nad kuratoriami, ta zależność jest jeszcze twardsza. W takiej sytuacji, wobec licznych możliwości niejawnego odwetu

ze strony władz, trudno o jawny sprzeciw. Tym razem jednak, choć spór formalnie dotyczy płac, przebija spod niego – o czym, także w tym numerze, opowiadają nam nauczyciele (s. 12) – poczucie bezsensu tej całej reformy/deformy oświaty, lęk przed spodziewanym chaosem podwójnych roczników, frustracja z powodu odebrania nauczycielom realnego wpływu na programy i organizację nauczania. Po prostu: nie chcą świecić oczami za decyzje podejmowane bez nich i ponad nimi.

Dyskusji o przyszłości polskiej szkoły nie odbyliśmy, gdy PiS i minister Anna Zalewska na łapu-capu wprowadzali nowy ustrój szkolny. Dziś też nie jest dobry czas. Na razie przede wszystkim trzeba opanować nasilający się organizacyjny chaos. A do poważnej rozmowy wrócić, kiedy tylko to będzie politycznie możliwe. Nie chodzi o przywracanie gimnazjów – i chyba nikt rozsądny już by tego nie zalecał – ale o odpowiedzi na pytania, czego, kiedy, w jakim systemie i jakimi metodami ma uczyć polska szkoła, także jak ma być zorganizowany system zatrudniania, oceny i wynagradzania nauczycieli? Jeśli rodzice, przy całej sympatii dla nauczycieli, byli mocno podzieleni w poparciu dla idei bezterminowego strajku, to także dlatego, że nie spodziewają się, aby podwyżki płac naprawiły szkołę, prędzej zakonserwują to, co jest.

Pieniądze na znaczne podwyżki dla nauczycieli, a także na dofinansowanie oświaty i np. służby zdrowia mogłyby się znaleźć, gdyby PiS przynajmniej trochę zredukował swoją „piątkę”, choćby przez wprowadzenie kryterium dochodowego dla „pierwszego 500 plus” (bo naprawdę nie ma powodu, aby pomoc społeczną kierować do kilku milionów rodzin, które jej życiowo nie potrzebują). Ale nie; minister Czerwińska (bohaterka naszego tekstu na s. 15) bądź jej ewentualny następcą będą musieli kombinować, jak ukryć fakt, że „prezent Kaczyńskiego” to weksel zastawiony na naszej przyszłości, że tak ogromne obciążenie finansów publicznych ogranicza nasze możliwości rozwojowe na lata. Była jakaś dyskusja w tej sprawie? Decyzja jednego człowieka, nawet noszącego tytuł Człowieka Wolności, wystarczy, żeby na stałe wpisać do wydatków państwa kilkadziesiąt miliardów?

Timothy Snyder w wywiadzie dla POLITYKI mówił, że weszliśmy w fazę antypolityki, w której „fakty nie istnieją, prawda jest kwestią opinii”, a przede wszystkim dla której nie liczy się przyszłość. Współczesny populizm skupiony jest na mitologizowanej przeszłości i manipulowanej teraźniejszości. Konserwatywny publicysta Łukasz Warzecha, który debiutuje w naszej rubryce Ogląd i pogląd (s. 21) i z którym normalnie poglądami i ocenami mocno się różnimy, także zwraca uwagę, że dzisiejszą politykę polską (i nie tylko naszą) określa słowo „krótkowzroczność”. Tu pełna zgoda. Pytanie, co zrobić, żeby to zmienić i czy jeszcze się da? Byłoby beznadziejnie, gdyby nie informacje, że rozmaite środowiska wciąż spotykają się, debatują, szukają jakichś plany „na po” (przykłady w tym numerze). Polska demokracja nadal daje oznaki życia; więc może znowu (kiedyś) zaczniemy rozmawiać na temat.



Etyka niech nie tyka

Los zwierząt laboratoryjnych wszędzie i zawsze jest marny. Naukowcy nie są gotowi zrezygnować z doświadczeń na naszych braciach mniejszych, hodowlanych, by poświęcić swoje życie dla nauki. Pozostaje zatem tylko minimalizować ich cierpienia i ograniczyć użycie zwierząt wyłącznie do badań, których prowadzenie wydaje się uzasadnione.

Polska ustawa o zwierzętach doświadczalnych utrzymana jest w duchu utylitarysty: najważniejsze są korzyści, jakie z badań naukowych odnosi ludzkość. W etycznej ocenie eksperymentów weryfikuje się tylko stosunek cierpienia zadawanego zwierzętom do efektów badań, który musi być na tyle istotny, by usprawiedliwić często dotkliwą krzywdę zwierząt. Tym zajmują się lokalne komisje etyczne dopuszczające, lub nie, wnioski naukowców o przeprowadzenie badań na zwierzętach.

– *Słabość niektórych lokalnych komisji wynika z tego, że na miejsce przedstawicieli organizacji reprezentujących interesy zwierząt w ich skład weszli członkowie Polskiego Towarzystwa Nauk o Zwierzętach Laboratoryjnych, stowarzyszenia promującego wykorzystanie*

zwierząt w biomedycynie i na różne sposoby powiązanego z placówkami biomedycznymi – mówi profesor Andrzej Elżanowski, zoolog i etyk z Polskiego Towarzystwa Etycznego. – *Mimo to komisje są właściwie jedynym elementem nadzoru etycznego, który jako tako funkcjonuje.*

Ala jak się okazuje, dla niektórych to i tak za dużo troski o zwierzęta. Ostatnio wiceprezes PAN, prof. SGGW i lekarz weterynarii, wystosował list do dyrektorów Instytutów Naukowych Wydziału II Nauk Biologicznych i Rolniczych PAN z prośbą o zgłaszanie problemów w sprawie rozpatrywania wniosków przez lokalne komisje etyki, dotyczących prowadzenia badań na zwierzętach doświadczalnych. Jak twierdzi profesor, w tej kwestii wpływa wiele uwag. „Przekazywane są także informacje o niewystarczającym wsparciu badaczy ze strony Krajowej Komisji Etyki”.

Zatem naukowcy chcą sprawą zainteresować Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i Nauki. I ukrócić działania etyków przeszkadzających naukowcom.

– *Około 90 proc. decyzji, jakie wydają nasze lokalne komisje, jest pozytywna* – mówi prof. Wojciech Pisula, psycholog, wiceprezident Krajowej Komisji Etycznej do

Spraw Doświadczeń na Zwierzętach. Odmowy są sporadyczne i dotyczą projektów ewidentnie nierespektujących praw zwierząt.

Profesor Zabielski najwyraźniej chce, by badacze jeszcze mniej ograniczały kwestie etyczne. W czasie batalii o ubój rytualny ten lekarz weterynarii twierdził, że ubój bez poprzedniego ogłuszenia nie powoduje nadmiernych cierpień u zabijanego zwierzęcia.

Taki stosunek do zwierząt nie jest wyjątkiem wśród lekarzy weterynarii, szczególnie tych zatrudnionych w Inspekcji Weterynaryjnej. Dlatego Polskie Towarzystwo Etyczne sprzeciwia się, by cały nadzór nad przestrzeganiem ustawy o ochronie zwierząt pozostawał wyłącznie w gestii resortu rolnictwa i podległej mu inspekcji weterynaryjnej. Etycy zwracają uwagę na wyraźny konflikt interesów między poszanowaniem życia i cierpienia zwierząt a zwiększaniem taniej produkcji zwierzęcej. To samo dotyczy zwierząt doświadczalnych – nadzór nad warunkami, w jakich są utrzymywane, także sprawuje inspekcja weterynaryjna. Dlatego PTE postuluje utworzenie niezależnej od resortu rolnictwa inspekcji ochrony zwierząt przy MSWiA, zwracając się z apelem do prezydenta Andrzeja Dudy o podjęcie takiej inicjatywy. AS

KOMENTARZ

Pod płaszczykiem i bez płaszcza

Ewa Siedlecka



Prokurator od „bliźniaczych wież” awansowana, czyli: jej się to po prostu należało.

Awans dla prokurator Renaty Śpiewak, która od dwóch miesięcy (w sumie już 50 godzin) przesłuchuje Gerarda Birgfellnera, łamiąc kodeks postępowania karnego, została awansowana na stanowisko prokuratora Prokuratury Okręgowej. Jakby powiedziała premier Szydło: jej się to po prostu należało. Do tej pory była tam jedynie delegowana, co zapewniało politycznemu zwierzchnictwu prokuratury kontrolę nad śledztwem: jakby co, wróciłaby do rejonu. W ten sposób na krótkiej smyczy trzymany jest 646 prokuratorów (dane z Białej Księgi Prokuratury Stowarzyszenia Prokuratorów Lex Super Omnia). Teraz okazano jej znacznie większe zaufanie.

Ale też solennie sobie na nie zasłużyła. Nie tylko o miesiąc wykroczyła poza ustawowy termin trwania postępowania wyjaśniającego (za co np. szef Stowarzyszenia Lex Super Omnia Krzysztof Parchimowicz ma postępowanie dyscyplinarne), ale traktuje pokrzywdzonego jak podejrzanego. Docieka, czy zapłacił podatek od faktur, które wystawił Spółce Srebrna (niezapłacenie to odpowiedzialność karna), i czy aby nie próbuje wyłudzić od Srebrnej pieniędzy. Niewykluczone, że skończy się postawieniem mu takich zarzutów. I w ten cudowny sposób to Jarosław Kaczyński stanie się pokrzywdzonym, a Austriak – podejrzanym. Zaś prokurator Śpiewak tym bardziej godna awansu.

Indagowana przez dziennikarzy prokuratora wyjaśniła, że pani prokurator na awans zasłużyła, prowadząc z sukcesem sprawę warszawskiej reprzywatykacji. Prokuratura odpowiada, że „Dzięki

prowadzonym przez nią postępowaniom karnym w skomplikowanych sprawach reprzywatykacyjnych przed sądami zapadało już kilkanaście decyzji o wypłacie odszkodowań poszkodowanym, którzy zostali pozbawieni mieszkań wskutek bezprawnego przejmowania warszawskich nieruchomości. Decyzje dotyczyły mienia o wartości ponad 13,5 mln złotych”.

Do tej pory przekonywano nas, że ojcem tych sukcesów jest Patryk Jaki i jego Komisja Weryfikacyjna. Chwali się, że Komisja przyznała 600 tys. zł odszkodowań i 2,9 mln zadośćuczynień (zawierdzić je muszą sądy). Ale widocznie ten sukces ma nie tylko ojca, ale i matkę. Zaś podana przez prokuraturę w tym komunikacie kwota 13,5 mln zł to nie kwota odszkodowań zasądzonych dzięki działalności prokurator Śpiewak, ale wysokości szkody, jaką poniosło miasto Warszawa w wyniku aferałnej reprzywatykacji kamienic przy ul. Mokotowskiej 40 i 63, i Emilii Plater 15. Miesiąc temu w tej sprawie aresztowano podejrzanych na polecenie prowadzącej tę sprawę Prokuratury Regionalnej we Wrocławiu. No, ale może pani prokurator Śpiewak ma tam niejawną etat.

Awans za reprzywatykację dziwnym trafem zdarzył się dokładnie w czasie, gdy w referacie pani prokurator „wisi” doniesienie o oszustwie dokonanym przez politycznego szefa prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry, czyli Jarosława Kaczyńskiego. Ten – też zbiegiem okoliczności – pofatygował się do urzędowej siedziby Ziobry na rozmowy o polityce dokładnie w czasie, gdy doniesienie o oszustwie wpłynęło do prokuratury. Sprawa zaś – zapewne przypadkiem – trafiła do sąle nie zapracowanej sprawami reprzywatykacyjnym prokurator Śpiewak.

Teraz doceniono jej wkład w umacnianie prawa i sprawiedliwości. Można było z tym awansem poczekać. To, że wydarzył się teraz, to nie tylko wyraz zaufania kierownictwa prokuratury do tego, że dalsze działania pani prokurator w sprawie doniesienia na prezesa Kaczyńskiego będą również właściwe jak dotychczas. To także dojmujące pokaz poziomu moralnego prokuratury. I kompletnego bezwstydu. PIS uznał, że metoda na szatniarza: „Nie mam pańskiego płaszcza” mu się sprawdza. Zobaczymy.



Lekcja dla eurofoba

Widok konwulsji Izby Gmin w sprawie wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej jest deprymujący z kilku powodów.

Po pierwsze, sala, w której Winston Churchill zagrzewał kiedyś naród i imperium do oporu wobec III Rzeszy, dziś jest świadkiem przepychanek na poziomie sejmiku wojewódzkiego. Po drugie, potwierdzają się słowa Tuska o tym, że przekleści są ci, którzy zabiegali o brexit, nie precyzując, co miałyby on oznaczać i jak do niego doprowadzić. Po trzecie, widzimy chyba agonię systemu dwupartyjnego w Wielkiej Brytanii. Nie potrafi on doprowadzić do sensownego kompromisu i nie reprezentuje kilkunastu milionów Brytyjczyków, być może większości, która chce w Unii pozostać.

W polskim kontekście brexit powinien być przestrożą dla nacjonalistycznej strony sporu, jak nie prowadzić własnego kraju do samodegradacji. Ale polski eurofob nie może przyznać, że jego brytyjscy pobratymcy po prostu się mylili i że przez głupotę, nacjonalizm i zacietrzewienie kraj będzie miał gorsze otoczenie międzynarodowe. Polskiego eurofoba najłatwiej poznać po tym, że za brexit obwinia po równo angielskich nacjonalistów, którzy do niego doprowadzili, oraz „brukselskie elity”, które rzekomo narzuciły Wielkiej Brytanii zbyt twarde warunki. Przyjrzyjmy się temu, bo jest to kolejna wersja śpiewki o tym, że cokolwiek złego się w Unii dzieje, winna jest Bruksela.

Pamiętajmy, że warunków umowy rozwodowej nie narzuciła Komisja Europejska, lecz uzgodniły je państwa członkowskie, UE 27. Przeprowadziły w tej sprawie pełną procedurę w Radzie Europejskiej i jednomyślnie wydały instrukcję negocjacyjną przedstawicielowi Komisji Michelowi Barnier. A ten z podziwu godną cierpliwością wobec partnera, który nie wie, czego chce, tę instrukcję wykonał. Więc gdy polski eurofob krytykuje warunki zaproponowane Wielkiej Brytanii, krytykuje w istocie stanowisko rządu RP, który je formalnie poparł.

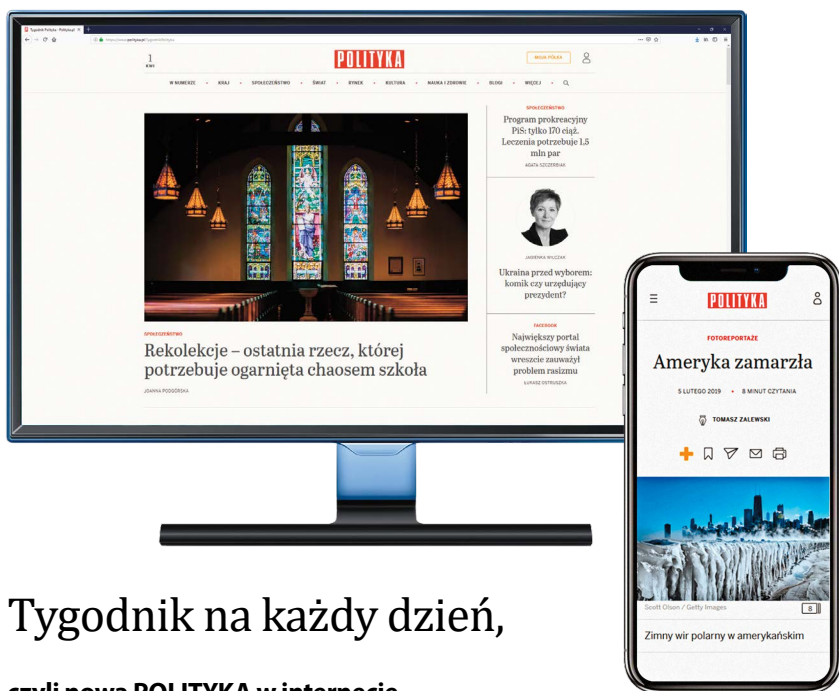
Warunki te zresztą nie mogą być inne, niż są. Umowa składa się bowiem z trzech oczywistych elementów: rozliczeń finansowych z rezygnującym członkiem, wzajemnych gwarancji wobec obywateli Unii w UK i UK w Unii oraz gwarancji co do granicy w Irlandii. Zakładam, że nikt nie uważa, że Londyn powinien móc wyjść bez płacenia swojej doli za przyszłe emerytury brytyjskich urzędników czy bez wkładu na realizację już zawartych kontraktów, np. na projekty infrastrukturalne w naszej części Europy. Także nikt chyba nie jest za tym, aby Wielka Brytania mogła traktować obywateli UE gorzej niż Unia Brytyjczyków. A gwarancje dla granicy w Irlandii zostały zaproponowane przez rząd Theresy May. Skoro partia koalicyjna torysów nie zgadza się na jakiegokolwiek nowe różnice regulacyjne pomiędzy główną wyspą a sześcioma hrabstwami (mimo że takie różnice, np. w dziedzinie rolnictwa i hodowli, już istnieją), to jedynym sposobem na zapobieżenie odbudowy granicy celnej w poprzek Irlandii jest utrzymanie całego Królestwa w unii celnej z UE. Wynika to wprost z tego, że Irlandia i UK zgodnie twierdzą, iż powstanie takiej granicy to ryzyko załamania się pokoju na Północy. A wszystkie technologiczne rozwiązania problemu, jak kontrolować przepływ dóbr bez fizycznych inspekcji pojazdów, okazały się urojeniami. Czy więc „ustępstwem” na rzecz UK

miałoby być pozwolenie na zbudowanie granicy celnej i ryzyko wojny? Nie, problemem nie jest nieustępliwość czy arogancja Brukseli. Problemem jest to, że zdolność uczenia się tych realiów przez brytyjskich polityków jest wolniejsza niż kalendarz wyjścia, który Wielka Brytania sama sobie narzuciła. Uczą się, z każdym głosowaniem przybliżają się do uznania rzeczywistości, ale mogą nie zdążyć.

Nic nie wskazuje na to, aby w rezultacie brexitu Wielka Brytania zyskała na znaczeniu międzynarodowym, a jej gospodarka rozkwitła. Ale już sam cyrk związany z wychodzeniem powinien wreszcie uświadomić polskim suwerenistom, jak złudne okazały się bajdurzenia zwolenników brexitu o „odzyskaniu kontroli”. Podejmując decyzję o referendum oraz wysyłając do Brukseli list rezygnacyjny, Wielka Brytania niewątpliwie działała suwerennie, z własnej nieprzymuszonej woli. I nadal ma suwerenne prawo do wyboru modelu przyszłych relacji z Unią: od zasad WTO po umowę o wolnym handlu, członkostwo w EFTA czy EEA. Unia wręcz nie może się doczekać na podjęcie przez UK tej decyzji. Jednocześnie jednak, jako podmiot słabszy wobec reszty UE, Wielka Brytania musi wybrać, ile chce oddać praw do działania według własnego widzimisię, za jaki poziom przywilejów handlowych. Jeszcze nie przyjmuje tego do wiadomości, ale już zaczyna rozumieć, że świat, w którym inni dokonują bolesnych kompromisów, a ona jedna ma wszystkie przywileje bez żadnych zobowiązań, po prostu nie istnieje.

Nacjonalistom, także polskim, trudno to ogarnąć, bo swą wyobraźnią i solidarnością obejmują tylko poziom własnego narodu. Gdy mówią, że Unia powinna być „Europą Ojczyzn”, mają na myśli to, że powinna być organizacją międzynarodową jak każda inna, w której wspólne instytucje mają być służebne wobec państw i w której wszystkie ważniejsze decyzje mają zapadać metodą międzyrządową. Pora zrozumieć, że gdyby pozostałe państwa zachowywały się tak samolubnie, to Unia – nawet tylko jako jednolity rynek – nigdy by nie powstała. Nawet tylko wspólny rynek wymaga, aby istniał ponadnarodowy arbitraż nieuniknionych sporów, którego decyzje muszą być respektowane niezależnie od woli rządów. Bez tego *minimum* *minororum* Unii być nie może.

Gdy więc nasi eurofobowie oburzają się na zarzut prowadzenia do polexitu, są albo intelektualnie niekonsekwentni, albo nieszczerzy. Jedna trzecia partii rządzącej – ta, która była przeciwna wchodzeniu, przeciwna traktatowi z Lizbony, a teraz bajdurzy o „wymyślaną wspólnotę” – po prostu uważa, że gdy brukselka się skończy, trzeba dać drapak. Ale ci, którzy być może samookłamują się, że są za Unią, ale taką, w której państwa członkowskie robią nie to, do czego się zobowiązały w traktatach, lecz to, co akurat strzeli im do głowy, też w istocie są za polexitem, choć stopniowym. Przypominam, że rząd brytyjski agitował za pozostaniem w Unii, tyle że na jego życzenie miała stać się tym, czym nie jest. Rezultaty już widzimy. Nacjonalistyczne intencje, nawet gdy wydają się dobre, też prowadzą do piekła.



Tygodnik na każdy dzień,

czyli nowa POLITYKA w internecie

Świat się zmienia, zmieniamy się i my. Od tego tygodnia strona internetowa POLITYKI ma nowy układ i pokazuje się w mocno zmienionej szacie graficznej. Przy planowaniu tej zmiany nie chodziło nam tylko o to, żeby nasza cyfrowa emanacja była estetyczna i nowoczesna, choć o to oczywiście też. Przede wszystkim zależało nam na tym, by była bardziej funkcjonalna dla Was, naszych czytelników. By zarówno na komputerach, laptopach, jak i komórkach czy tabletach łatwiej i przyjemniej można było korzystać z bogactwa treści POLITYKI: reportaży, wywiadów, publicystyki czy komentarzy.

Od dziś na papierze czy w internecie będziecie Państwo czytali jedną POLITYKĘ – krótsze i dłuższe teksty Waszych ulubionych dziennikarzy i publicystów, a także starannie dobranych współpracowników z zewnątrz. Pisane zarówno z perspektywy całego tygodnia, jak i ostatniego dnia czy godzin.

Przywiązujemy dużą wagę do tego, żeby nasza strona internetowa była aktualna, ciekawa i różnorodna, a teksty najwyższej jakości. I nie tylko poświęcone polityce, ale także sprawom społecznym, kulturze, nauce, zdrowiu, stylowi życia czy historii. W tym coraz szybciej zmieniającym się i komplikującym świecie chcemy pozostać dla Państwa stałym punktem odniesienia i partnerem do dyskusji.

Ci z Państwa, którzy również w wersji cyfrowej lubią czytać POLITYKĘ jako tygodnik, numer po numerze, będą wciąż mogli to robić. Ale jednocześnie w internecie każdego dnia będziemy publikować nowe treści, tak żeby zachęcić do zaglądania na naszą stronę codziennie. Na początek

tygodnia znajdą tam Państwo wybrane, przedpremierowe teksty, które na papierze ukażą się dopiero w środę. Środek tygodnia wypełnią nasze komentarze i opinie, teksty publicystyczne. Z kolei sobota i niedziela będą poświęcone przede wszystkim podsumowaniu tygodnia i lżejszym materiałom weekendowym.

Będziemy coraz częściej pokazywali Państwu najlepsze dziennikarstwo także w nowych, internetowych formach: newsletterach wysyłanych na Wasze skrzynki mailowe, podcastach (już możecie słuchać muzycznej „Polifonii na fonii” Bartka Chańskiego), wideo i infografikach.

Nowa strona POLITYKI to efekt kilkunastomiesięcznej pracy wielu osób z zespołu POLITYKI: z redakcji, pionu cyfrowego, wydawnictwa i biura reklamy, ale też naszych konsultantów i partnerów z obszaru nowych technologii. Nasze pomysły na funkcjonowanie tradycyjnego tygodnika w dobie cyfryzacji mediów zostały już dostrzeżone i nagrodzone – już po raz trzeci POLITYKA znalazła się w gronie podmiotów, które zostały wyróżnione przez Google Digital News Innovation Fund, program wspierający innowacje w dziennikarstwie internetowym.

Wystarczy złotówka, żeby wypróbować cyfrową prenumeratę POLITYKI – łatwe i przyjemne korzystanie z naszych treści przez siedem dni w tygodniu, 24 godziny na dobę.

Czekamy na Państwa uwagi pod adresem mailowym internet@polityka.pl i w naszych mediach społecznościowych. Zapraszamy na polityka.pl!

ŁUKASZ LIPIŃSKI

REKLAMA

WASZ 10%

Drodzy Czytelnicy – jeśli zamierzacie przeznaczyć 1% Waszego podatku dochodowego za rok 2018 na szlachetny cel, to zachęcamy do przekazania tych środków na rzecz Fundacji Tygodnika POLITYKA, posiadającej status organizacji pożytku publicznego.

Pieniądze zebrane z Państwa darowizn przeznaczone zostaną na cele statutowe Fundacji, przede wszystkim na stypendia dla młodych naukowców. Stypendia jako Nagrody Naukowe POLITYKI przyznamy w roku 2019 już po raz dziewiętnasty – dziękujemy za wspieranie nas w tej ważnej inicjatywie.

Aby przekazać 1% na naszą Fundację, wystarczy w rocznym rozliczeniu podatku dochodowego (PIT) podać nazwę Fundacji i jej KRS oraz kwotę stanowiącą równowartość 1% podatku. Urząd skarbowy prześle te pieniądze Fundacji.

Dane niezbędne do PIT:

FUNDACJA TYGODNIKA
POLITYKA

02-309 Warszawa, ul. Słupecka 6

KRS: 0000104137

© REUTERS/FORUM



Ukraińska tragikomedja

Członkowie lokalnej komisji odwiedzają wyborców na wsi w obwodzie iwanofrankińskim.

W drugiej turze wyborów prezydenckich na Ukrainie spotkają się komik Wołodymyr Zełenski (ok. 30 proc.) i walczący o reelekcję Petro Poroszenko (16 proc.), tak wynika z niekompletnych jeszcze wliczeń. Przedwyborcze sondaże przewidywały taką ewentualność, ale teraz żarty się skończyły. O rozstrzygnięciu może zdecydować 36 proc. wyborców, którzy nie poszli głosować w pierwszej turze, bo nie mieli na kogo albo nie chcieli wybierać Poroszenki, ale Zełenskiego także nie. A może chcieli wysłać prezydentowi ostrzeżenie, że jego styl rządzenia ich nie zadowala. W drugiej turze będą musieli zdecydować, komu powierzyć kraj, czy nieprzewidywalnemu aktorowi z popularnego serialu, bez programu i doświadczenia – czy jednak dotychczasowemu prezydentowi, który ma wiele wad, ale pokazał też zalety, a wśród nich nieustępliwość wobec Rosji oraz dążenie do Europy i NATO.

Drugim decydującym czynnikiem będzie przepływ elektoratów pozostałych kandydatów. Julia Tymoszenko, trzecia na półmetku z wynikiem 13 proc., próbuje się dogadać z Zełenskim w sprawie powyborczego przetasowania w rządzie w zamian za poparcie w drugiej turze. Takie porozumienie kompromituje Zełenskiego jako kandydata zbuntowanego przeciwko elitom politycznym.

Petro Poroszenko nie może mówić o sukcesie. Zapowiedział rozmowy z kandydatami, którzy odpadli z gry. Ale z kim może pertraktować? Bo chyba nie z Jurijem Bojko, ministrem energetyki z czasów Janukowycza, a przy okazji człowiekiem bliskim Putina i Moskwy. Bojko dobrze wypadł na wschodzie, wygrywając z Zełenskim. Ponad 11 proc. poparcia, jakie zdobył, to sporo, ale trudno sobie wyobrazić Poroszenkę ubijającego interes z ludźmi Janukowycza. Pozostaje Anatolij Hryczenko, 7 proc. poparcia w pierwszej turze. Rozmowa z Hryczenką z pewnością nie hańbi, choć wcześniej krytykował działania Poroszenki. Kto jeszcze? Nacjonalści?

Poroszenko będzie zapewne chciał doprowadzić do debaty przed drugą turą. Miałby w ręku atut: jest doświadczonym politykiem, a jego przeciwnik o rządzeniu ma tylko wiedzę z planu serialu „Sługa Narodu”, w którym gra prezydenta z przypadku. Zełenski jest rosyjskojęzyczny, po rosyjsku przemawia z ekranu, zwraca się bardziej do rosyjskojęzycznych obywateli Ukrainy. Jak wypadnie po ukraińsku? Szanse Poroszenki na wygraną wcale nie są takie małe, ale i gwarancji zwycięstwa nie ma żadnych.

JAGIENKA WILCZAK

Całować, nie całować?

Prawie 10 mln kliknięć zaliczył filmik z papieżem Franciszkiem gwałtownie cofającym rękę z pierścieniem Rybaka przed wiernymi, którzy próbują go ucałować. Filmik, umieszczony m.in. na stronie brytyjskiego dziennika „The Guardian”, trwa niespełna minutę. Wywołał burzę spekulacji: czy to tylko zmęczenie papieża ceremoniałem, czy może zapowiedź rezygnacji z rytuału? Tymczasem witanie się papieża z wiernymi podczas jego wizyty we włoskim sanktuarium maryjnym Loreto trwało 13 minut. Aż 41 osobom spośród ponad stu papież pozwolił pierścień pocałować. Jest on symbolem zaślubin biskupa z Kościołem Chrystusowym. Tylko biskup Rzymu nosi **pierścień Rybaka**. Gdy umiera, pierścień zostaje komisyjnie zgnieciony. Pocałunek wyraża lojalność wiernych wobec biskupa i Kościoła. Ale czasy się zmieniają.



Przez wieki całowano papieża w czubek pantofla, dziś wielu katolików, w tym duchownych, oczekuje od biskupów rezygnacji z feudalnej pompy. Przecież współcześni papieże zrezygnowali z lektyki i monarszej korony. John F. Kennedy, choć katolik, nie pocałował pierścienia podczas spotkania z Pawłem VI, ponieważ chciał uniknąć zarzutu, że potwierdza pocałunkiem zależność od papieża. Jednak katolicy tradycjonalni, często niechętni Franciszkowi, zareagowali na filmik negatywnie. Wpisali go w swoją narrację, że papież nie rozumie swojej roli. Jeden z konserwatywnych portali wypuścił tweet, żeby papież się wynosił, jeśli nie chce być namiestnikiem Chrystusa. Replikował biograf Franciszka, Austen Ivereigh: papież nie chce być traktowany jak święty relikw. Jest namiestnikiem Chrystusa, a nie rzymskim cesarzem. Za to sam Bergoglio bez problemu całował w pierścień prawosławnego patriarchę Konstantynopola, a w rękę – Żydów ocalonych z Zagłady czy ostatnio Marka Lisińskiego, szefa fundacji „Nie lękajcie się”.

Cierpliwość Brukseli

Po trzecim już przegranym głosowaniu nad umową brexitową większość brytyjskich posłów pewna jest tylko jednego – że nie chcą wyjścia z Unii bez umowy. Tylko ta opcja zyskała większość w parlamencie. Problem w tym, że sama Unia może mieć inne zdanie. Posłowie, kolejny raz odrzucając propozycję May i sami nie proponując nic w zamian – stan na poniedziałek, w praktyce oddali Unii pełną kontrolę. Teraz jedyną opcją

pozostającą w rękach Brytyjczyków jest odwołanie brexitu.

Brytyjski parlament do 29 marca, pierwotnej daty brexitu, nie zaakceptował żadnego „wyjścia”. Dlatego data rozvodu – zgodnie z decyzją Rady Europejskiej – przesunęła się na 12 kwietnia. Tego dnia nastąpi katastrofalny brexit bez umowy, chyba że Unia zgodzi się na kolejne przedłużenie. Ale tu postawiła już dwa warunki. Po pierwsze, Londyn musiałby przeprowadzić eurowybory, co prawie trzy lata po referendalnej decyzji za brexitem wydaje się kuriozalnym pomysłem. I po drugie, Brytyjczycy muszą uzasadnić

przedłużenie, a jak wiadomo z Brukseli Unia da się przekonać już tylko dwoma konkretnymi: przyspieszone wybory na Wyspach lub drugie referendum. Przy czym powtórka tego głosowania może niczego nie rozwiązać i za kilka miesięcy wszyscy spotkają się w punkcie wyjścia.

Czy Unię na to stać? Jeszcze niedawno płynęły sygnały, że Bruksela zrobi wszystko, aby zablokować brexit bez umowy. Ale koszty tego „wszystkiego” rosną z dnia na dzień. I dlatego Londyn nie powinien już za pewnik brać zgody Unii na kolejne przedłużenie brexitu.

Wolny Joseon uderza w Kima

Głównie dzięki hiszpańskiej prokuraturze przecieka coraz więcej informacji na temat tajemniczego napadu na ambasadę Korei Północnej w Madrycie. Początkowo wydawało się, że miał on charakter rabunkowy, a tymczasem był jak najbardziej polityczny. Za napadem stoi również sekretna grupa północnokoreańskich dysydentów Cheollima (czyli skrzydlaty rumak w antycznej tradycji), która później zmieniła nazwę na Wolny Joseon (co z kolei odwołuje się do dawnego państwa koreańskiego). Pod pretekstem spotkania z konsulem grupa 10 osób wdarła się do placówki, uzbrojona w atrapy broni, pojmowała personel, biciem wymuszając informacje, a po kilku godzinach odjechała służbowymi samochodami placówki, wywołując dokumenty, laptopy, telefony komórkowe i co tam jeszcze było do wywiezienia. A wszystko to tuż przed spotkaniem na szczycie Kim Dzong Una z Donaldem Trumpem w Hanoi. Wybór akurat madryckiej ambasady KRLD nie był przypadkowy: do niedawna stał na jej czele Kim Jok Czol, wydany przez Hiszpanów, kierujący teraz negocjacjami z Waszyngtonem.

Według „El Pais” atak na ambasadę był bardzo profesjonalnie przeprowadzony, a sprawcy dobrze wiedzieli, czego szukają. Co kierowałyby zainteresowanie ku służbom specjalnym, konkretnie amerykańskim. Grupa Cheollima/Wolny Joseon miała w różnych wersjach opisu wydarzeń współpracować z FBI albo CIA. Na jej czele stoi Adrian Hong Chang, mieszkający w Ameryce z meksykańskim paszportem. Było już o niej głośno, kiedy w marcu 2017 r. wywozła z Makau syna zamordowanego miesiąc wcześniej Kim Dzong Nama, przyrodniego brata dyktatora. Miała też pomagać w kilku ucieczkach z Korei. Na nagraniach upowszechnionych w internecie niszczy portrety uwielbianych koreańskich przywódców, ale wszystko to pewnie za mało, żeby poważnie zagrozić systemowi Kimów.



Zwolennicy opozycyjnej partii CHP świętują w Stambule zwycięstwo swojego kandydata.

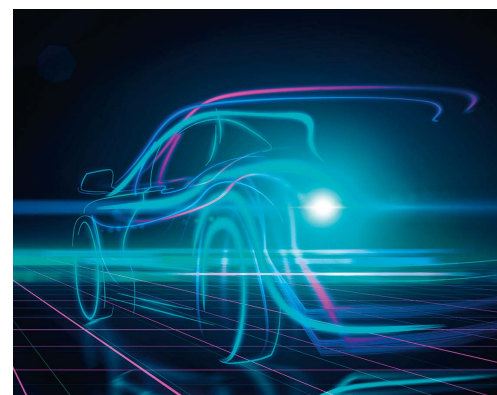
Erdoğan traci miasta

Choć w poniedziałek, gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, nie było jeszcze pewne, kto wygrał lokalne wybory w Stambule. Recep Tayyip Erdoğan już chyba wiedział. Prezydent Turcji ma w zwyczajną tzw. mowy balkonowe, w których zaraz po zamknięciu komisji wyborczych recenzuje kolejne wybory. Tym razem, jeszcze w niedzielny wieczór, uznał porażkę swojego kandydata w Ankarze. I nie pogratulował byłemu premierowi Binaliemu Yildirimowi, który przy pełnym wsparciu państwowych mediów i prezydenta bił się o dawną stolicę imperium, co również zostało odczytane jako przyznanie się do przegranej.

Porażka Yildirima musiała zboleć szczególnie, bo Stambuł był w rękach rządzącej krajem AKP nieprzerwanie od 1994 r., gdy burmistrzem został... Erdoğan.

Jeden z komentatorów podsumował, że „Erdoğan zaczął się w Stambule, i tam może się skończyć”.

Nie tak prędko. Co prawda w niedzielnych wyborach rządząca AKP najwyraźniej straciła władzę w dwóch największych miastach kraju i wśród 13 największych metropolii będzie rządzić tylko w trzech, to jednak w liczbach bezwzględnych nadal jest bezkonkurencyjna. Porażki w miastach to wynik konsolidacji opozycji wokół Republikańskiej Partii Ludowej (CHP), dawnej partii Atatürka, która dostała 30-proc. poparcie. Ale w skali kraju AKP zdobyła ok. 45 proc. głosów, głównie na prowincji. I to mimo ogromnego kryzysu gospodarczego: w zeszłym miesiącu Turcja oficjalnie wpadła w recesję, inflacja przebiega 20 proc., a rezerwy walutowe znikają. Ale następne wybory ogólnokrajowe są dopiero w 2023 r. i Turcy mogą jeszcze zdążyć zapomnieć o kryzysie.



Unia zdejmuje nogę z gazu

Bruxela otwiera kolejny front, tym razem drogowy. Komisja Europejska ogłosiła projekt obowiązkowego wyposażenia nowych samochodów osobowych, wchodzących na rynek od 2022 r., w systemy ostrzegania przed przekroczeniem prędkości. W wielu droższych modelach jest już instalowany, nazywa się ISA i łączy informacje dotyczące lokalnych ograniczeń prędkości uzyskane z GPS z systemem rozpoznawania znaków drogowych. Informuje kierowcę, z różnym stopniem nachalności, o przekroczonych ograniczeniach, no i można natręta wyłączyć. Ale (jeszcze) nie zwalnia automatycznie prędkości samochodu, ta nadal zależy od decyzji prowadzącego pojazd. Są też pomysły ograniczenia prędkości maksymalnej pojazdu; w volvo miałyby to być hojnie 180 km/h.

Obowiązkowe instalowanie systemów ma swoich entuzjastów. Zdaniem Antonio Avenoso z Europejskiej Rady Bezpieczeństwa Transportu (ETSC) byłoby to porównywalne z wprowadzonym w 2006 r. obowiązkiem zapinania pasów. W 2017 r. zginęło na unijnych drogach 25 300 osób, a 135 tys. zostało ciężko rannych. Przynajmniej w co czwartym wypadku zawiniła nadmierna prędkość. Ale są też przeciwnicy argumentujący, że ISA zwalnia z myślenia: kierowca przestawia się w tryb automatu, intuicyjnie trzyma się maksymalnej dozwolonej prędkości, a czasami jest ona za wysoka.

Na horyzoncie pojawił się też daleki idący pomysł, aby samochody osobowe, wzorem wielkich ciężarówek, wyposażyły obowiązkowo w czarne skrzynki rejestrujące prędkość. Można byłoby je sprawdzać w sytuacji kolizji i byłyby istotne w przypadku dochodzenia odszkodowania z ubezpieczenia. Tymi pomysłami zajmie się ze świeżą energią już nowy europarlament, wyłoniony po majowych wyborach. Wszystko wskazuje, że bardziej populistyczny niż poprzedni, co powinno ożywić dyskusję.

Operacja dyskredytacja

Rząd robi, co może, by obrzydzić nauczycieli. Jeśli mu się uda, zrzuci na „belfrów – egoistów” odpowiedzialność za skutki nieudanej reformy systemu oświaty.

W

JOANNA CIEŚLA

tej grze kluczowe są stereotypy. Najczęściej przywoływany to ten: nauczyciele co prawda niezbyt dużo zarabiają, ale też niezbyt dużo pracują. Premier Mateusz Morawiecki subtelnie cedzi przekaz: „Nauczyciel ma troszeczkę więcej czasu wolnego, ale nauczyciel chce więcej zarabiać”. Senator PiS Andrzej Stanisławek radzi, by ci, którzy pragną lepszych pensji, dobrze pracowali: wychowali

olimpijczyków, za co dostaje się premie. Na forach internetowych atak idzie już bez pardonów: nauczyciele to obiboki i nieroby. A także egoiści. Co potwierdzać ma wybór terminu rozpoczęcia strajku z żądaniem tysiąca złotych podwyżki. Zapowiedziany został na 8 kwietnia – tuż przed egzaminami gimnazjalisty i ośmioklasisty.

Władza powtarza bez ustanku: „biorą dzieci jako zakładników”. MEN w gazetach zamieszcza ogłoszenia „Powodzenia na egzaminach! Jesteśmy z wami!”. W spotach emitowanych w TVP, w których o swoich marzeniach na czas po egzaminach opowiada troje nastolatków, władza obiecuje, że MEN pomoże je spełnić. I puentuje informacją o stale podnoszonych nakładach na edukację.



Marek Kondrat jako nauczyciel w filmie „Dzień świra”.

Ale wygląda na to, że Prawo i Sprawiedliwości w ogóle nie chodzi o dzieci. Minister Anna Zalewska, apelująca do nauczycieli, by nie opuszczali podopiecznych, sama zbiera się do Parlamentu Europejskiego tuż przed finałem forsowanej przez siebie reformy. Będzie nim rekrutacja do szkół średnich podwójnej liczby kandydatów: ostatnich absolwentów gimnazjów i pierwszych opuszczających ośmioletnie szkoły podstawowe.

Władzy chodzi o przedstawienie nauczycieli jako politycznych graczy opozycji. I pozbawienie ich wiarygodności. Szef Komitetu Stałego Rady Ministrów Jacek Sasin w ubiegłym tygodniu powtarzał w wywiadach: „Żądania ZNP są zaporowe”. „Mam obawę, że druga strona nie oczekuje porozumienia. Chodzi o czysto polityczną akcję wymierzoną w PiS podczas kampanii wyborczej”.

Rolę tych „lepszycy” nauczycieli wzięły władze oświatowej Solidarności. Są bardziej skłonne do ustępstw. Żądają niższych podwyżek niż ZNP, „nie chcą brać uczniów jako zakładników” i powtarzają, że „sprawy dorosłych chcą rozwiązać między dorosłymi”, okupując małopolskie kuratorium oświaty, w którym gości ich słynna kurator Barbara Nowak. Ale szeregowy nauczyciel, który „rozumie możliwości budżetu” i z którym można się dogadać, to byt czysto hipotetyczny. By umieścić w materiale „Wiadomości” TVP głos nauczycielki zadowolonej z podwyżek przyznanych w ostatnich miesiącach przez MEN, reporterzy musieli wyciąć i wkleić wypowiedź z archiwum (sama zacytowana publicznie potem protestowała, bo popiera planowany przez ZNP strajk).

Gra rządu staje się nader czytelna. Skoro wrzenie w oświacie jest potężne, skoro nie da się nauczycieli ułagodzić, trzeba przeciwstawić ich społeczeństwu. A gdy operacja-dyskredytacja się powiedzie, na nauczycieli będzie można zrzucić odpowiedzialność także za bałagan podczas podwójnej rekrutacji, egzaminów i za wszelkie nieudane eksperymenty w oświacie.

Uda się? To zależy. Emocje wobec nauczycieli nie są oczywiste. Negatywne – jak strach czy złość – mieszają się z pozytywnymi – jak współczucie czy wdzięczność. W żądających podwyżek każdy widzi tych, których sam spotkał w życiu. Albo których właśnie spotykają jego dzieci. Mamy ich więc za mentorów wytyczających ścieżki rozwoju i jednocześnie wykańczających psychicznie ciemiężców. To dlatego planowany protest wzbudził skrajne reakcje. Z jednej strony różnorakie gesty poparcia, z drugiej lawina hejtu.

Emocjonalne rozdarcie potwierdzały badania opinii. W sondażu IPSOS dla OKO.press na pytanie: „Czy popiera pan/-i strajk nauczycieli?”, 47 proc. pytanym było „za”, 48 proc. „przeciw”. W sondażu Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu” na podobne pytanie 47 proc. badanych odpowiedziało „tak”, „nie” 37 proc. W badaniu IBRIŚ, opublikowanym przez „Rzeczpospolitą”, 64 proc. pytanym sprzeciwiało się protestowi nauczycieli w czasie egzaminów. Czy uda się zdezwuować nauczycieli? Jak są postrzegani?

ZŁOŚĆ Paulina, 42 lata, Warszawa: – *Moja wuefistka w pierwszych klasach podstawówki wyszydzała wszystkich. Szczególnie udatnie przedrzeźniała naszą jękającą się koleżankę – mieliśmy po osiem lat, pokładałiśmy się ze śmiechu. Ze mnie też drwiła – nie umiałam złapać leżącej piłki. Rostałam w przekonaniu, że jestem ofermą i łamagą.*

Relacja z nauczycielem jest jedną z tych, których ślad zostaje w psychice na lata, bywa, że określa późniejsze życie. – *To oczywiste w sytuacji, gdy przez kilkanaście lat żyje się w układzie, w którym nauczyciel jest nadrzędny, pokazuje wartości, uczy, ocenia – uważa prof. Franciszek Szlosek z Instytutu Pedagogiki Akademii Pedagogiki Specjalnej. Mechanizm jest podobny jak w więzi z rodzicem, choć słabszy. Nawet jeśli wspomnienia z czasem błędna, odżywiają w sprzyjających okolicznościach. Gdy do szkoły zaczyna chodzić dziecko. Albo gdy nauczyciele zwracają na siebie uwagę, zapowiadając strajk.*

Grażyna, 48 lat, Kraków: – *Dyrekcja szkoły mojej córki i w zasadzie cała kadra nie jest zaangażowana w rozwiązywanie problemów uczniów. Jeden z chłopców, „inny” – spokojny, delikatny – był hejtowany przez kolegów w internecie, ale też na terenie szkoły. Jego mama zgłaszała problem na zebraniach, wychowawczyni to lekceważyła. Aż chłopiec został w szkole dotkliwie pobity, sprawę bada policja. Dla mnie to świadczy o tym, że niestety nauczycieli interesuje tylko, by zrobić to, co muszą, poprowadzić swoje lekcje i pójść do domu.*

Z międzynarodowego porównania Eurydice wynika, że pensum polskich nauczycieli – 18 lekcji trwających 14 godzin zegarowych – jest jednym z najniższych w Europie. Analiza IBE, przeprowadzona kilka lat temu, pokazała jednak, że rzeczywisty czas, jaki nauczycielom zabiera praca – przygotowanie lekcji, sprawdzenie klasówek i wypracowań, wypełnienie dokumentów to 47 godzin na tydzień. Te 18 lekcji to skutek próby przekupstwa podjętej w stanie wojennym przez władze PRL. Rząd, świadom potencjału nauczycielskiego wpływu na masy, próbował pozyskać pracowników szkół, opublikował Kartę Nauczyciela. – *Faktycznie dawała ona wiele prerogatyw, na czele ze skróceniem tygodniowego wymiaru godzin pracy nauczyciela do 18 – przyznaje prof. Szlosek.*

Przez lata Karta ewoluowała w coś pomiędzy listkiem figowym, pozwalającym nauczycielom mało płacić, a dyżurnym argumentem na rzecz tezy, że mało co robią. Nauczyciele najmłodszego pokolenia skądinąd w tej sprawie myślą dość podobnie; są świadomi, że aby społeczeństwo zgodziło się na ich stosowne do zadań zarobki, trzeba urzędowo określić, że te zadania są wykonywane przez 40 godzin tygodniowo. I tyle właśnie siedzieć w szkole. A po godzinach zająć się własnym życiem.

WSPÓŁCZUCIE „Jesteśmy z nauczycielami!” (fanpejdż założony w marcu przez rodziców uczniów podtoruńskiej szkoły, obecnie 5 tys. polubień): „Sytuacja zawodowa nauczycieli z roku na rok się pogarsza, także w wymiarze ekonomicznym. Jesteśmy przekonani, że spełnienie postulatów nauczycieli będzie sprawiedliwe i adekwatne do nakładu ich pracy i czasu poświęcanego dzieciom i stanie się początkiem odbudowywania prestiżu tego trudnego i szlachetnego zawodu”.

Agata, 23 lata, studentka: – *Nauczycielka biologii w gimnazjum przekonała mnie do udziału w konkursach, na co sama bym się nie odważyła. I odnosiłam sukcesy. Dzięki temu nie bałam się później wyjechać do prestiżowego liceum w Opolu, w którym dostałam stypendium, a jeszcze później przenieść się do Krakowa, szukać pracy. A sama moja pani od biologii całe życie przemieszkowała w wiosce, w której było moje gimnazjum.*

W sondażach szacunku do grup zawodowych nauczyciele niezawodnie lądują w czołówce. Badania CBOS dotyczące uczciwości i rzetelności przez lata dawały im mocne trzecie miejsce – za naukowcami i pielęgniarkami. Ostatnio informatycy zepchnęli nauczycieli z podium. Ale wciąż wyprzedzają m.in. sędziów i księży. Inny sondaż CBOS „Prestiż zawodów” z 2013 r. dawał im wśród tych najbardziej cenionych siódme miejsce – niższe niż strażakom, profesorom i górnikom, wyższe niż lekarzom i przedsiębiorcom. Prof. Franciszek Szlosek uważa, że „prestiż” może w tym przypadku znaczyć tyle co „ważność”. – *Nauczyciele mają wielką przestrzeń do kształtowania poglądów. Mimo rozwoju technologicznego, serwisów społecznościowych, ich osobisty kontakt z uczniami wciąż jest na tyle istotny, że niedostrzeżenie go lub bagatelizowanie to po prostu ignorancja.*

Paradoks polega na tym, że sami nauczyciele czują się nieszanowani, zastraszani, ignorowani. – *To skutek codziennego przekazu w kraju gospodarki rynkowej – ocenia prof. Szlosek. – Jeśli pracujesz dobrze, jesteś inteligentny i profesjonalny, masz pieniądze.*

Zasadnicza nauczycielska pensja to dziś od 2,5 tys. do 3,5 tys. zł brutto (1,8 tys. – 2,5 tys. zł na rękę), gdy średnia ►